

Gdybym choć raz założył rękawice...

- Wiesz, Anusiu, nic, co tu, nie jest ważne. **Wszystko, co ważne, jest tam...** Tak mi powiedział na drogę. A ja czułam, że ojciec wie, i siłę wiary tu nie zobaczymy. To był koniec stycznia 2006 r. Zmarł w kwietniu...
- wspomina rezyserka Anna Pietraszek, laureatka Nagrody im. o. Mariana Żelazka.

Krzysztof BŁAŻYCA
krzysztof.blazycy@gosc.pl

W liście z Darsugudy (z 16 grudnia 1967) pisał: „Tutaj, w Indiach zawsze jest coś nowego. (...) Praca misyjna jest teraz trudniejsza niż dawniej, jak się odnawia, a te głosy, że wszystko powinno być indyjskie, odzywają się coraz mocniej. Jednym słowem przyszło na pewno nie będzie nudna”. Kiedy we wsi odwiedził parę starszków. „Byli całkowicie lepi, dziadek i babka. Przeszali chodzą do kościoła 15 lat temu. Zrobili duży krzyżyk w gminie chrześcijańskiej. Na starszka przyszła kreska. Poddałem im możliwość pojednania się z Bogiem. Zgodzili się. Na kościół rozewniała ich pieśń: Maryja, hamar ayo (Maryjo, nasza Matko), który ostatni raz słyszeli i śpiewali 15 lat temu...” - wspominał potem. - Dawał ludziom ciepło w tego... - opowiada Anna Pietraszek. - Mówił prosto: „Anusiu... krzyż to jest moja siła. Przez krzyż idę do wszystkich moich zajęć”. I jeszcze miłosierdzie. Ono dla niego było najważniejsze.

W Puri, gdzie był, we wtorek i piątek od godziny 15 przyjmował trędowatych. Przychodzili specjalnie do niego, z różnych rejonów Indii. - Wiedzieli, że jest taki człowiek, który opatruje rany. Trzeba było amputować palce u nóg,

wydłubywać robaki z ran - on to wszystko robił. I w tych najbardziej ekstremalnych sytuacjach słyszałam, jak mówił ludziom, że Pan Jezus jest bardzo dobry, a oni są ważni dla Niego. A do mnie: „No co ja ci mam mówić o miłosierdziu? Przecież widzisz... To wszystko to jest miłosierdzie. To, jak ci ludzie dają mi miłosierdzie, jak się odnawia, a ta misja mogła powstać...”. W języku oryja i w hindi nie ma słowa „miłosierdzie”. Powiedział mi: „Mogło to tylko pokazać”.

O PIKNYCH DUCHOWNYCH

Pierwszy raz Anna Pietraszek pojechała do ojca Mariana w 1986 r. - Dowiedziałam się o nim od himalaistów, którzy zamieszkiwali tam leki. W Polsce prawie nikt o ojcu nie mówił. Takie czasy kosztowne. Ja byłam parafianką ks. Popiełuszki na Oliborzu. Kochałam dziennikarstwo, gdy go zamordowano. Postanowiłam wtedy, że będę robiła filmy o piKNYCH duchownych polskich. To miał być mój odwet na komunie. I powstał „podziemny” film „Misja”.

Przyznaje, że o. Marian zmienił jej życie. - Zabrał mnie do szkoły, którą wybudował. Uczyli tam około 300 dzieci z rodzin trędowatych. Spytałam, ile jest ochrzczonych. „O, widzisz...? Ten!” - wskazał. „Tylko jeden?” - pytam zdziwiona. „A jeden” - odparł ojciec z uśmiechem.



Zaraz po śmierci zaczął to w Indiach nazywać ojca Mariana Bapą (Ojciec Ubogich, Wielki wiary).

Nauczanie było tu na najwyższym poziomie w całym stanie Orisa. - Dzieci braminów, najwyższej kasty były posyłane razem z dziećmi trędowatych - podkreśla Anna Pietraszek.

W Puri, miejscu pielgrzymek tysięcy hinduistów, obok wiktoriańskich Daganath (Pana wiata) ojciec Marian wybudował kościół Matki wiata. - A dla trędowatych robił wszystko, by nie umierali na mietnikach, gdzie wywołano dogorywających. On ich zbierał i organizował im życie. Założył dla nich fabrykę powrozków, materiałów, ferm kurczaków, staw rybny.

O. Marian Żelazek: „Nie jest trudno być dobrym, wystarczy tylko chcieć”.

Sprzedawali swoje wyroby najlepszym hotelom w Puri. To ewenement, bo kupienie czegokolwiek od trędowatego było niemożliwe. Ojciec przekraczał bariery.

W 80. urodziny o. Marian Żelazek jako jedyny niehinduista został uznany za bramina. - To wydarzenie dziejowe - przekonuje Anna Pietraszek. - Bramini wiktoriańskich w Puri przyszedł do kościoła, przyniósł girlandy kwiatów, nałożył ojcu na szyję i powiedział: „Jeste braminem”.

Takim guru był...

Urodził się w Paldziu koło Poznania 30 stycznia 1918 r. We wrześniu 1937 r. rozpoczął swój nowicjat u werbistów Chłudowie, a do Indii trafił w 1950 r. - Chłudowo to jego dom macierzysty, gdzie złożył ślub. Istniał go w czasach okupacji, wraz z innymi, wywieziono najpierw do fortu siódmego w Poznaniu, a potem do Dachau i Gusen - wspomina o. Feliks Kubicz SVD, który spotykał o. Mariana, gdy ten przyjeżdżał do Polski. - Miał tu taki pokój bez łazienki. Niczego nie wymagał. Skromny. Lubiał

rozmawiać z nowicjuszami, spotykał się z chorymi. Pamiętam, jak pchał wózek z jedyną babcią. Miał problem z okularami, więc mu soczewki w Poznaniu załatwiali mi.

Do Indii zawsze chciał wracać. Mówił, że jest „cały dla Indii i cały dla Polski”. - Po jednej z wizyt otwieram szafę, a tam jego buty. Kilkanaście lat chyba mu służyły. Schowałem jako relikwie - artuje o. Feliks. Odwiedził ojca Mariana w Indiach: - Taki był z niego prawdziwy tatuś i tak go nazywali - bapa. Chodził do chorych, wszystkich dotykał. Mówił mi: „Ojciec, a jakie rękawice lekarskie, bo to

trudne...” A on do mnie: „Felek, jakbym choć raz założył rękawice, to ja nie mam po co tu przychodzić”. Ewangelizował słowem, a jeszcze bardziej czynami. I ludzie to widzieli. Takim guru był dla nich. A tu, w Polsce, zwykły współbrat. Może bardziej wiary...

Wspomnienia z Dachau powracały u o. Mariana. - Opowiadał, jak jego radość z wyzwolenia obozu zgasił fakt, gdy jeden z oswobodzonych więźniów wziął karabin i strzelał do niemieckich więźniów. Zemsta... Gdy o. Marian o tym mówił, nawet wyraz jego twarzy pełen był przejęcia. On sam był pięć lat w obozie i nie czuł nienawiści do oprawców. A gdy koledzy umierali na jego rękach, to on postanowił, że będzie za nich pracował. Chciał wyjść z obozu, bo to piekło, ale chciał być misjonarzem. Potem słuchał pieśni „obozowych” nawet w Indiach. Wspominał kolegów. Jego powołanie w obozie się umocniło.

Śpiewał Moniuszka

Wielokrotnie odwiedzała ojca Mariana Anna Tarajkowska z fun-

dacji Redemptoris Missio. - Był skłonny do rozmowy po polsku. Często wspominał czasy okupacji i wciagał nas w osobiste rozmowy. Kiedyś problem dla niego był do rozwiania przez dobro i wyrozumiałość. I bardzo lubił śpiewać. Miał winyłę z pieśnią, która powstała z ciałami. Zapraszał nas na herbatę i śpiewał Moniuszka - „Szumi jodły”, a tak e „Góralu, czy ci nie żal”.

W swojej „a ramie” w Puri mieszkał sam. W wiosce wszyscy byli hinduistami. Tylko kucharz, szofer i sanitariusz byli katolikami. Miał ogród z palmami kokosowymi i małą kapliczkę, gdzie modlił się rano i wieczorem. - Był te stawki. Ludzie w Puri używali stawów do obmywania rytualnych, a ojciec chodził z brewiarzem koło stawu - wspomina Anna Tarajkowska. - W wiosce to go całowali po stopach, bo tam taki zwyczaj. A bramini byli jego przyjaciółmi. Szanowali go. Widać, że człowiek dla nich, a jednocześnie taki zwyczajny.

W 2002 r. o. Marian został nominowany do Pokojowej Nagrody Nobla. - Nie otrzymał jej, ale napisał list, dzięki któremu wszystkim za poparcie - przypomina o. Feliks. - Dla niego to było wyróżnienie „w imieniu wszystkich polskich misjonarzy”. Artował, że sam został wyróżniony chyba z powodu swojego wieku...

Ojciec Marian Żelazek zmarł w Puri 30 kwietnia 2006 r. Został pochowany na cmentarzu werbistów w Darsugudzie. - Jego śmierć była dla mnie bolesna, ale szybko starałam się przejść za jego nauki, że nie jest ważne to, co tu, lecz to, co tam. To powiedział na naszej ostatniej Mszy i tego się trzymam - mówi Anna Pietraszek. O. Feliks wspomina brata ojca Mariana, który „modlił się do Marysi”. A Anna Tarajkowska przyznaje: - Teraz, gdy co się nie udaje, to mówię „ojciec, pomóż!”. No i pomaga...